



Wagary pod Giewontem

Z Iwoną Haniaczyk, gospodynią schroniska na Hali Kondratowej w Tatrach, rozmawia Jakub Terakowski

Nie boi się Pani tu mieszkać?

Nie, a dlaczego?

Bo pamiętna, kamienna lawina, nie ominęła schroniska. Potężny głaz wbił się w ścianę jadalni, a kilka – jeszcze większych, cudem zatrzymało się obok.

Ale to było ponad 60 lat temu!

Historia lubi się powtarzać...

Pomyślałam o tym tylko raz. To było kilka lat temu podczas trzęsienia ziemi, wyraźnie odczuwalnego na Hali Kondratowej. Zabręczały tu wtedy wszystkie szklanki, kubki i talerze, zakolysały się lampy, ale Giewont nie drgnął. Zresztą jego stoki są teraz tak zarośnięte drzewami, że żaden głaz by nie przemknął. A co najważniejsze, po zejściu tamtej lawiny, na grani Długiego Giewontu przeprowadzono serię ostrzałów górniczych, dzięki którym usunięte zostały wszystkie niestabilne kamienie. Jak widać, skutecznie to zabezpieczyło budynek.

HISTORIA JEDNEGO GŁAZU

Czy w ścianę jadalni wbił się ten głaz, leżący tuż za oknem?

Tak, to ten. To cud, że nic się wówczas nikomu nie stało. Znam tę historię z opowiadań dziadka. Dzień był ciepły i słoneczny. Tłum obiegł schronisko i całą halę. Nagle zadrzęła ziemia, w ulamku sekundy lawina kamieni ruszyła spod grani Giewontu, wprost na Kondratową. Co ją spowodowało? Nie wiem, może jakieś ruchy tektoniczne? Turyści nie mieli czasu na ucieczkę, tylko opatrność mogła ich uratować. I uratowała.

Jak udało się pozbyć tego głazu z jadalni? Trzydziestu ton nie sposób przecież tak po prostu odsunąć...

Tak, to było nie lada wyzwanie dla dziadka. Pomysłów miał wiele, włącznie z pozostawieniem głazu wewnątrz schroniska, na pamiątkę i ku przestrodze. Byłaby to niewątpliwie duża atrakcja turystyczna, lecz z perspektywy czasu myślę, że zbyt duża, i to dosłownie... Jestem dziadkowi wdzięczna za to, że zrezygnował z tego pomysłu. Bo w jadalni i bez tego głazu bywa ciasno... (*śmiech*). Gdy więc zapadła decyzja, o jego usunięciu, na Kondratową wezwano górali z kofmami. Nadaremno, bo kamień nawet nie drgnął. I wtedy dziadka olśniło: zamiast mocować się z trzydziestoma tonami, łatwiej pozbyć się ich sprytem. Wykonał podkop i... głaz powoli, majestatycznie sam opuścił schronisko. Jest zatem jak góra lodowa, bo na powierzchni widać tylko jego ćwiartkę. Teraz, przy ładnej pogodzie, turyści z upodobaniem siadają na nim, nie wiedząc, skąd się tu wziął.

HISTORIĘ PISAŁ DZIADEK

A Pani, skąd się tu wzięła?

Moja rodzina prowadzi schronisko na Kondratowej od początku istnienia tego obiektu, czyli już 70 lat. Mój dziadek, Stanisław Sku-

pień, miał dwie pasje: sport i góry. Uprawiał narciarstwo, był olimpijczykiem, reprezentował Polskę w Lake Placid (Igrzyska Olimpijskie w 1932 r. – red.). Niestety, biegu na 50 kilometrów z powodu złamanego kijka nie ukończył. Ustanowił za to inny, dość oryginalny rekord. Otóż gospodarze igrzysk zaprosili wszystkie reprezentacje do Nowego Jorku, na bieg, na ostatnie, 102 piętro – nowo otwartego wówczas – Empire State Building. Dziadek wraz z pozostałymi zawodnikami naszej kadry zwyciężył w tym biegu, osiągając czas poniżej 20 minut, który przez wiele lat był najlepszy (*śmiech*). Kondycja i doświadczenie, które zdobył wcześniej w Tatrach, okazały się bezcenne.

Z biegiem lat góry stały się dla dziadka ważniejsze od sportu. W 1946 roku postawił na Hali Kondratowej szalaz, a dwa lata później, wraz z pracownikami, przybijał ostatnie gonty na dachu nowego schroniska. Poprowadzenie obiektu zaproponowała mu Sekcja Narciarska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Spędził tu ponad 30 lat. Był nie tylko gospodarzem schroniska, ale także ratownikiem oraz wciąż aktywnym narciarzem. Organizował tu zgrupowania sportowców: narciarzy, skoczków, biegaczy i bokserów. Schronisko stanowiło dla nich bazę, a na samej hali wybudowano tor saneczkowy i skocznię.

Skocznię? Dzisiaj chyba nie ma po niej śladu?

Nie, nawet ja nie potrafię dokładnie wskazać miejsca, w którym była. A przecież musiała mieć pokaźne rozmiary, skoro w 1936 roku na Hali Kondratowej odbyły się Mistrzostwa Polski, które z powodu

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaa

braku śniegu przeniesiono tu z Wielkiej Krokwi. Dziadek zmarł w 1983 roku. Do ostatniej chwili nie zszedł z pokładu schroniska, nawet już będąc w szpitalu, wydawał dyspozycje. Stery po nim przejął syn Andrzej – mój wujek. Hala Kondratowa nie miała przed nim tajemnic, bo od małego dziecka, wraz z siostrami, czyli moją mamą i ciocią, spędzał tu każdą wolną chwilę. Tak wyrosło następne pokolenie gospodarzy. Andrzej prowadził schronisko przez kolejnych 20 lat, turyści go uwielbiali. Praca nie była łatwa, na szczęście kupili wtedy pierwszego UAZ-a. Notabene – to był świetny egzemplarz, zupełnie nie do zdarcia i... nadal nim jeżdżę! Wcześniej towar dostarczany był na Halę Kondratową furmanką lub sańmi, a gdy śnieg sięgał pasa, zaopatrzenie dostarczano w plecakach na barkach dziadka i wujka.

Pani jest zatem trzecim pokoleniem gospodarzy?

Tak, ale ja również wakacje spędzałam na Kondratowej. Włączyliśmy się po okolicy, drugi z wujków prowadził szalaz na Gorycz-

kowej, więc odwiedzaliśmy go niemal codziennie.

Czyli Pani również nie musiała odkrywać tu Ameryki...

Amerykę akurat odkrywałam i to dosłownie, bo mieszkałam w Stanach przez kilka lat. Wróciłam w czasach, gdy prawie nikt nie wracał. Znajomi za oceanem nie mogli uwierzyć. A ja co noc śniłam o schronisku, przesiadywałam na werandzie... Pewnego ranka postanowiłam wrócić. Decyzję podjęłam dosłownie z dnia na dzień. I dziś uważam, że to była najlepsza decyzja w moim życiu. Na miejscu dowiedziałam się, że wujek Andrzej jest chory. Zaczęłam mu pomagać, pracowałam w kuchni i sukcesywnie, przejmowałam obowiązki. Ale faktycznie, nie musiałam wszystkiego uczyć się od nowa, bo wcześniejsze doświadczenie bardzo mi pomogło. Tak czy inaczej początki były bardzo trudne, a i teraz bywa mi ciężko.

Dlaczego?

Prowadzenie schroniska to praca dla trzech silnych mężczyzn, a nie dla jednej kobiety. Nie zamieniłabym jej jednak na żadną inną. Biuro z widokiem na Kopę i Przełęcz Kondracką jest dla mnie bezcenne. Cieszę się, że tu jestem i z dumą kontynuuję dzieło dziadka. Ale to w dużym stopniu także zasługa wielu życzliwych osób, na których pomoc zawsze mogę liczyć. Miałam i znowu mam doskonałą załogę. Przez wiele lat pracowała u nas ekipa, która w końcu postanowiła odejść na swoje. Wcale im się nie dziwię, bo trudno tu o prywatność, jak długo tu można wytrzymać? Schronisko wymaga serca, zaangażowania bez reszty, odporności na tłum w sezonie i samotność po nim. Do tego, na Kondratowej, trzeba przyzwyczaić się do wiatrów halnych, które działają depresyjnie na osoby słabsze psychicznie. W miejsce tamtej załogi zatrudniłam ostatnio małżeństwo Bernatkę i Marka, którzy jako młodzi ludzie poznali się i pracowali u wujka Andrzeja. Teraz, po odchowaniu dzieci, wrócili do schroniska. Historia zatoczyła koło.

KOPIEMY W ŚNIEGU TUNELE

Ile osób na co dzień pracuje w schronisku?

Na stałe dwie plus ja. W sezonie zatrudniamy pięć, niekiedy sześć oraz kierowcę.

Potrafi jeździć tym starym UAZ-em?

Pan Jan? Oczywiście! To niezawodny człowiek i bezcenny samochód. Do góry wozimy nim węgiel, a na dół śmieci. Mamy też Nissana Patrola, jeden z pierwszych modeli z 1990 roku – świetne auto, mocne, proste i bez elektroniki. To jest w tych warunkach najważniejsze. Zimą, gdy tylko warunki na to pozwalają, używamy skutera śnieżnego. Jednak po świeżych opadach nie jest on w stanie pokonać zasp. Zapada się w sybkim śniegu, więc wciąż zdarza nam się nosić towar na plecach jak dziadek Stanisław i wujek Andrzej. Podobnie w okresach przejściowych – jesienią oraz wiosną – gdy na dole i w miejscach nasłonecznionych śniegu już nie ma, a w lesie wciąż leży metr. Za późno wówczas na skuter, lecz zbyt wcześnie na samochód i znów tylko własne nogi mogą nas uratować.

Ilu turystów odwiedza schronisko?

Latem tłumy, bo przecież przez Kondratową prowadzi najpopularniejszy szlak na Giewont. Część wstępuje do środka, zatrzymuje się na dłużej, część tylko korzysta z toalety i zostawia śmieci. Ruch mierzymy tu godzinami, które personel może przeznaczyć na sen. Od czerw-



Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

ca do września jest ich notorycznie zbyt mało. Po zamknięciu bufetu trzeba jeszcze zakwaterować nocujących, przygotować posiłki na następny dzień, pozmywać, posprzątać i wyrzucić śmieci. Zimą natomiast zdarza się, że nawet przez trzy, cztery dni nikt do nas nie zagląda. Wszystko zależy od warunków, dwumetrowe zasy potrafią zatrzymać każdego, a oblodzony szlak też bywa przeszkodą nie do pokonania. Po obfitych opadach śniegu, na powierzchni widać tylko dach schroniska, zaspane są wszystkie okna. Kopiemy tunele, aby dostać się do środka i wpuścić nieco światła. Dobra zima trwa tutaj do końca maja.

REZERWACJE NA PIERNIK

Czy schronisko zawsze jest nieczynne od połowy listopada do Bożego Narodzenia?

Tak, obiekt nie jest już nowy, więc po sezonie zawsze wymaga wykonania pewnych prac konserwatorskich oraz remontów. Bufetu jednak nie zamykamy.

I jest w nim ten legendarny piernik, z którego słynie Kondratowa?

Jest, o ile już nie zniknął... (*śmiech*). A potrafi zniknąć zadziwiająco szybko, bo nie pieczemy go dużo, ale zawsze zgodnie z przepisem babci. Zazwyczaj, około południa, po pierniku zostaje tylko wspomnienie. Przyjmujemy więc... rezerwacje. Prawie codziennie ktoś, idąc rano przez Kondratową na Giewont, prosi o odłożenie kilku kawałków do konsumpcji w drodze powrotnej. A w marcu, gdy przygrzeje pierwsze słońce, przychodzą na piernik zakopiańczycy. Biada nam, gdyby go zabrakło... Większość schronisk serwuje szarlotkę, a u nas jej nie ma. **Była, gdy w 2006 roku wytyczalem Ekstremalny Szlak Szarlotek Tatrzańskich.**

Miał Pan szczęście, bo to był epizod. Wywarto na mnie presję i rzeczywiście przez kilka miesięcy podawałam szarlotkę. A ponieważ piec w schronisku jest zbyt mały, aby szarlotka mogła zmieścić się obok piernika, więc piekłam ją na dole i codziennie dowoziłam. Zrezygnowałam, gdy sześć blach, na stromym odcinku, spadło na podłogę w samochodzie i z szarlotek zrobił się bigos...

Szkoda, bo jako jedyna spośród tatrzańskich szarlotek była ozdobią konfiturą...

Pamiętam, Basia zaczynała wtedy pracę i poniosła ją fantazja.

Pani schronisko słynie też z tej już na wópót zabytkowej księgi wyjść...

Z pierwszym wpisem Zbigniewa Zwolińskiego z 1953 roku? Nadal ją mam, lecz udostępniam tylko zainteresowanym. Jest zbyt cenna, aby

jak kiedyś leżała obok recepcji. Poza tym, jako książka wyjść, już dawno przestała funkcjonować. Ostatni turysta, który chciał odnotować swoją wycieczkę, poprosił o nią 10 lat temu. Ten zwyczaj już u nas zupełnie zaniknął. A wręcz przeciwnie, ludzie teraz tak cenią sobie prywatność i anonimowość, że coraz częściej nie chcą okazywać dowodów osobistych nawet przy zakwaterowaniu. Nie rozumieją, że zameldowanie gości jest naszym obowiązkiem, a nie kaprysem.

ZWIERZĘTA WOKÓŁ NAS

Kondratową kojarzę z psami na archiwalnych zdjęciach. Pani dziadkowi zawsze towarzyszy owczarek...

Zgadza się, to długowieczna suczka Zbójka. Teraz nie mamy psów, bo to wbrew przepisom TPN. Schroniska pilnuje kot, biada niedźwiedziowi, który odważy się podejść...

(*śmiech*). Turystów natomiast uwielbia, jest naszym frontmanem. Na portalach społecznościowych częściej widuję jego zdjęcie niż Kondratowej... (*śmiech*).

Jak ma na imię?

Branka, nie wiem dlaczego i nie mam pojęcia jak to się pisze, bo tak nazwał ją jeden z naszych pracowników.

A niedźwiedzie?

Z dzieciństwa pamiętam Kubę. Przychodził do nas codziennie, nie był agresywny. Łaził za wujkiem Chramcem na Goryczkową. Trzymał się przy tym na dystans, więc najlepiej to było widać z kolejki. Pasażerowie z rozbawieniem opowiadali nam o tym duecie. Teraz, niedźwiedzie zdemoralizowane przez turystów, nazbyt spoufalają się z nimi. Podchodzą zbyt blisko, co może być niebezpieczne. Wychodząc wieczorem ze schroniska zawsze sprawdzam, czy nie ma miśka w pobliżu. Przed kilkoma miesiącami, sto metrów stąd, tuż obok szlaku, rozrabiała niedźwiedzica. Była bardzo niespokojna, wręcz agresywna. Okazało się, że ma trójkę młodych, a w pobliżu przebywa inny, dorosły osobnik. Czuli się zapewne jak w potrzasku. Z jednej strony zagrożenie stanowili turyści, z drugiej kolejny niedźwiedź. Zatrzymaliśmy ruch, na szlaku uciхло i to wystarczyło, aby matka poprowadziło swoje potomstwo w spokojniejsze miejsce.

Czy na Kondratowej nadal odbywają się Spotkania Ludzi Kasprowego?

Już nie, ponieważ impreza tak się rozrosła, że nie sposób było pomieścić tu wszystkich gości. W pierwszych edycjach uczestniczyło po 30 osób, teraz to już setka. Ze wzruszeniem wspominam te najwcześniejsze, kameralne spotkania w schronisku na Kondratowej. Słuchanie opowieści seniorów Józefa Uznańskiego, Jana Gąsienicy-Ciaptaka, Stanisława Pierona i wielu innych było dla mnie ogromnym przeżyciem. Większość z nich znała mojego dziadka. Niestety, większość z nich już nie żyje... Obecnie, jedyną stałą imprezą organizowaną na Kondratowej jest Memoriał imienia Stanisława Skupnia. To dość nietypowe zawody. Jeżeli pogoda na to pozwala, narciarze zjeżdżają tu z Kasprowego Wierchu. Każdy dostaje ode mnie kilka tyczek. Następnie, przy ich pomocy, zawodnicy wspólnie układają trasę slalomu, na której będą startować. Grupa jest niewielka, bo to prawie sami nasi znajomi, a rywalizacja dość symboliczna. Memoriał jest bowiem przede wszystkim okazją do spotkania – nie tyle imprezą sportową, co towarzyską. Zwycięzca otrzymuje puchar przechodni, który po zawodach zostaje w schronisku. Wiosną 2017 roku, po raz pierwszy w historii, Memo-



Ma 47 lat. Urodziła się w Zakopanem. Studiowała ochronę środowiska. Od 2003 roku prowadzi najmniejsze tatrzańskie schronisko na Hali Kondratowej.

riał został odwołany z powodu nadmiaru śniegu i zagrożenia lawinowego.

A kilka lat wcześniej odwołany tu został Sylwester, na który zresztą się wybierałem...

To było w 2013 roku. Tuż po Bożym Narodzeniu wiatr nie tylko zerwał przewody wysokiego napięcia, ale też tak spustoszył las, że nie sposób było tu bezpiecznie dojść. W niektórych miejscach Dolina Kondratowa wyglądała jak Bory Tucholskie po tegorocznej nawałnicy. Drzewa połamane jak zapalki, aż żal było patrzeć na te zniszczenia. Musiałam odwołać Sylwestra. Część gości to zrozumiała, część po prostu twierdziła, że zabawa przy świecach też ma swój urok. To oczywiście prawda, ale nawet pomijając ryzyko związane z samym dotarciem na Kondratową, to nie sposób byłoby obsłużyć tylu gości bez działających lodówek, kuchni elektrycznych, zmywarek i... oczyszczalni ścieków. Czekamy na poprowadzenie linii

elektrycznej pod ziemią. Kamień z serca mi spadnie, gdy obecność prądu w gniazdkach nie będzie już zależeć od kaprysów aury. Prace mogą jednak potrwać dość długo, gdyż równocześnie ma tu zostać dociągnięta kanalizacja. Nasza obecna oczyszczalnia w sezonie letnim, gdy ruch jest największy, przestaje za turystami nadążać...

Schronisko przetrwało wszystkie nawałnice, czy przetrwa jednak tę nadciągającą, prawną? Pojawily się informacje, że TPN chce schronisko przejąć od PTTK.

O wietrze historii rozmawiać nie chcę. Żaden wiatr dotychczas krzywdy schronisku nie zrobił.

MÓJ NUMBER ONE TO SIKLAWICA

Czy mając dziadka olimpijczyka, może Pani pochwalić się podobnymi osiągnięciami sportowymi?

Na miarę startu w Lake Placid? Ależ skąd. Dziadek jest dla mnie niedoścignionym wzorem do naśladowania, zarówno w schronisku, jak i na stokach. Niemniej jednak na nartach jeżdżę z upodobaniem i kto wie, czy nie spróbowałabym pójść w ślady dziadka, gdyby nie kontuzja, która za młodu wyeliminowała mnie na dwa lata. A to zbyt dużo, aby wrócić do sportu. Wciąż jednak, gdy tylko mogę, do schroniska jeżdżę przez Kasprowy. Na wszelki wypadek narty mam zawsze w bagażniku. Jestem szczęściarą, nie wyobrażam sobie lepszej pracy.

A Pani ulubionym miejscem w Tatrach jest Hala Kondratowa?

Nie zgadł pan. Mój number one to Siklawica w Dolinie Strążyskiej. Tam najchętniej chodzę na spacer, ładuję akumulatory, zabieram znajomych i syna.

Widzę, że czwarte pokolenie już szykuje się do przejęcia sterów...

Jeszcze nie czas na zmianę warty, lecz mam wrażenie, że Kuba (na cześć naszego niedźwiedzia) wcześniej nauczył się odśnieżać, niż chodzić... (*śmiech*). Nigdy nie musiałam go namawiać do machania szufłą, w przeciwieństwie do wagarów...

Nie rozumiem. Namawiać do wagarów?

Tak, w słoneczne, zimowe dni porywam czasem Kubę na Kasprowy, szkoła nie zajac. Na najważniejsze klasówki wymyka się z domu chylkiem... (*śmiech*). |



Jakub Terakowski

Był na wszystkich kontynentach, Polskę przeszedł z Gdańska na Rysy i ze Świnoujścia na Hel (wielokrotnie). Wyrzucił Ekstremalny Szlak Szarlotek Tatrzańskich. Mieszka w Krakowie i Gdańsku, więc nie wszystko, co kocha, jest w górach...